

„Teatr to bycie razem”

Jerzy Snakowski jest absolwentem Uniwersytetu Gdańskiego, popularyzatorem teatru, reżyserem (m.in. niedawnej premiery – *Straszego dworu*), twórcą projektu „Opera? Si!”. W rozmowie z Justyną Martelą i Nikodemem Szelbracikowskim, studentami filologii polskiej (specjalność: dziennikarstwo i wiedza o mediach), podzielił się doświadczeniami i opowiedział o swojej drodze do teatru, która pokazuje, że nigdy nie jest za późno na realizację marzeń



Jerzy Snakowski

Fot. Krzysztof Mystkowski



Jerzy Snakowski
i studenci filologii polskiej:
Justyna Martela
i Nikodem Szelbracikowski

Fot. Centrum Filmowe UG
im. Andrzeja Wajdy

► **Prosimy krótko się przedstawić i podać kierunek studiów, który pan ukończył, a także profesję, którą pan teraz wykonuje.**

Jerzy Snakowski, skończyłem filologię polską. A profesja? [śmiech] Ostatnio pytali mnie o to na policji. Z braku pomysłu odpowiedziałem, że wolny zawód. „Nie ma takiego, musi pan kimś być”. Powiedziałem więc – operolog. I tak wpisano w kwestionariusz.

► **Czy może pan przywołać jedno ciekawe wspomnienie z czasów studiów na Uniwersytecie Gdańskim?**

Myślę, że był to wykład profesora Bachórza, w trakcie którego profesor przez półtorej godziny o kimś opowiadał. Dopiero w ostatniej minucie padło nazwisko bohatera. Okazało się, że przez cały czas słuchaliśmy o Josephie Conradzie, ale my nie mogliśmy się tego domyśleć przez sposób, w jaki profesor przedstawił nam jego sylwetkę.

► **Jaką radę przekazałby pan obecnym studentom?**

Wykorzystajcie studia maksymalnie. Przy czym nie oznacza

to wiecznego uczenia się. Pamiętajcie, że poza biblioteką istnieją jeszcze inne źródła wiedzy. Przywiązujecie wielką wagę do relacji i uczcie się języków obcych.

► **Jaką umiejętność zdobytą na studiach uważa pan za kluczową w obecnie uprawianym przez pana zawodzie?**

Myślę, że studia na Uniwersytecie Gdańskim dały mi przede wszystkim narzędzia, entuzjazm i oczywiście znajomych, z którymi teraz współistnieję w środowiskach artystycznych. Wykładowcy nie mogli mi dać wiedzy z mojej dziedziny. Nie specjalizowali się w tym kierunku, ale pomagali mi w zupełnie inny sposób. Jestem wychowankiem profesora Jana Ciechowicza, to on zaszczepił we mnie „radość teatru”. Pokazał, że to jest nie tylko historia czy teoria, ale również bilet, plakat, życie w kulisach. Było to inne spojrzenie na teatr niż wyłączone spojrzenie akademickie.

► **Czy mógłby pan opowiedzieć o swojej największej zawodowej radości?**

Jest nią to, że mój zawód cały czas sprawia mi przyjemność. Zaska-

kuje mnie wciąż, na ile sposobów można zajmować się operą. Nie mogę się doczekać, kiedy pojawi się w moim życiu kolejny z nich. Radością jest fakt, że cały czas coś się dzieje.

► **Praca reżysera to praca zespołowa. Czy ma pan swoje własne techniki na utrzymanie dobrej atmosfery?**

Nie nadużywałbym słowa *reżyser*. Jestem nim od krótkiego czasu. Dzisiaj mam pięćdziesiąt dwa lata. Debiutowałem jako reżyser na dużej scenie dwa lata temu, mając pięćdziesiąt lat. Myślę, że to był najpóźniejszy debiut w historii polskiego teatru. Ale tak, mam sposób. Jestem przygotowany, wiem, czego chcę od ludzi, wiem też, w których momentach czegoś nie wiem, przyznaję się do tego. I profesjonalizm – przygotowanie się od A do Z. Funkcjonuję w zawodzie trzydzieści lat i obserwowałem w tym czasie, jak się robi spektakle. Śpiewacy namawiali mnie nawet do reżyserowania, pytali, czemu tego nie robię. Odpowiadałem im: „Ja? Przecież nie mam wykształcenia. Jestem tylko polonistą”. Później okazało się, że jestem „aż” polonistą. Otwartość,



Fot. Krzysztof Mystkowski

którą dały mi studia, bardzo się przydała. Musiałem do tego dojrzeć. Mając czterdzieści dziewięć lat, pomyślałem: „Przestań gadać, zrób to”. Dzięki splotowi wydarzeń obecny dyrektor Opery Bałtyckiej – Romuald Wicza-Pokojski – dostrzegł we mnie potencjał i zaproponował mi reżyserię. Słuchając rozmów koleżanek i kolegów śpiewaków, pomyślałem, że muszą wiedzieć, że ja wiem. Cieszę się z tego, że we mnie uwierzyli.

Co do atmosfery na próbach – nigdy nie jest słodka i przyjemna jak landrynka i Coca-Cola z cukrem. Czasem trzeba być nie miłym, ale to jest gra zespołowa. Gwiazdom dziękujemy. Czasami dodają trochę blichtru, ale czy o blichtr w tym wszystkim chodzi? Atmosfera bywa różna, ale wszystko zawsze kończy się szczęśliwie.

► **Czy jest w takim razie coś, co teraz chciałby pan zrobić lepiej?**

Mówiąc to, musiałbym się przyznać do jakiegoś błędu albo do niedoskonałości. [śmiech] Nie chcę wracać do przeszłości. Myślę raczej o przyszłości.

Ponoć uczymy się na błędach. Bardzo nie lubię, kiedy ktoś mnie krytykuje i ocenia, co nie znaczy, że go nie słucham. Słucham bardzo uważnie, wyciągam wnioski, ale do przeszłości zawodowej nie potrafię wracać. Mam w komputerze sto trzydzieści scenariuszy „Opera? Si!”. Było w nich mnóstwo fajnych gagów, pomysłów. Czasami kusi mnie, aby po nie sięgnąć i coś wykorzystać, jednak wygrywa ambicja podpowiadająca: „Przecież musisz wymyślić coś nowego!”.

Co bym zrobił lepiej? Kiedyś, przez moment, żałowałem wyboru studiów; to było jeszcze w czasie ich trwania. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy trzeba było być młodym wilczkiem, oczekiwano ode mnie, że zostanę ekonomistą. Oczywiście zrobiłem na przekór i poszedłem na polonistykę. Przez chwilę żałowałem, dopóki nie dostałem kilku propozycji pracy. To mnie uspokoiło. Wyniosłem ze studiów entuzjazm, który otworzył przede mną bardzo szeroko wiele drzwi. Ludzie lubią pasjonatów. Pasja uratowała mi życie, także zawodowe.

Kiedy kończy się czterdzieści lat, nabywa się pewności siebie – przynajmniej tak było w moim

przypadku. Wtedy już wiedziałem, że bardzo dobrze wybrałem w życiu i nie chciałbym, żeby się ono inaczej potoczyło. I niech toczy się dalej. Jak? Nie wiem. Chciałbym reżyserować – złapałem bakcyła, bardzo mi się to podoba.

► **Wspomniał pan o swoim stosunku do krytyki. Czyta pan zatem komentarze w internecie na swój temat?**

Czytam, recenzje są cenne. Hejt jest natomiast beznadziejny, tego nie czytam. Przez kilka lat uprawiałem publicystykę na portalu Trojmiasto.pl i lecieli tam po mnie jak po łysej kobyle. Na szczęście miałem świadomość tego, że hejt nie jest prawdą i nie należy się nim przejmować. Krytyki słucham z obrzydzeniem, ale ją przyjmuję i przetrawiam. Hejt jest kompletnie obok mnie.

► **W pewnym sensie krytyka pozwala się doskonalić.**

Tak, oczywiście. Najciekawsze rzeczy sugerują mi ludzie, którzy mówią, że nie znają się na operze. To oni są najcenniejszym źródłem



Fot. Krzysztof Mystkowski

informacji. Przyjmuję ich uwagi krytyczne, bo wiem, że mają rację. Jestem dla publiczności i muszę jej słuchać. Podczas jednego spotkania z cyklu „Opera? Si!” przeprowadziłem ankietę, dzięki której zebrałem około setki uwag, próśb i pytań. Od kilku sezonów mam listę tych uwag pod ręką. Większość z nich została już zrealizowana. Niektóre wydały mi się bardzo dziwne, ale ta dziwność czasem pobudza. To powoduje, że projekt „Opera? Si!” buduję nie tylko ja, ale też widz. Czasami warto spytać ludzi, co im się podoba.

► **Biorąc w nawias opinie innych ludzi, jakie przedsięwzięcie zajmuje najwięcej miejsca w pańskim sercu?**

Mój sztandarowy, trwający najdłużej w moim życiu projekt „Opera? Si!”. Prowadzę go w Operze Bałtyckiej już szesnasty rok. Wychowałem pewnie półtora pokolenia melomanów, a przynajmniej tak sobie schlebiam. Przyznam się, że chciałem nawet kiedyś skończyć z tym projektem, ale mi nie pozwolono. Powiedziano mi: „Opera Bałtycka bez »Opera? Si!«?”, „Ty

bez »Opera? Si!«?”, „Ty to jesteś »Opera? Si!«”. Musiałem się z tym zgodzić. W tym szesnastym roku trwania projektu nadal sprawia mi on ogromną przyjemność.

► **A co poradziłby pan tym ludziom, którzy nie znają się na teatrze, ale chcieliby zacząć swoją przygodę z nim?**

Człowieku, słuchaj mnie! *[śmiech]* Trzeba zacząć chodzić do teatru, nie ma innego sposobu. Wszystkie projekty edukacyjne, koncerty i pogadanki, które prowadzę, to wydarzenia okołoteatralne. Teatr zaczyna się o godzinie dwiętnastej w ciemnym budynku, w którym nie ma okien. Wszystko pozostałe to zabawa, performance. Inaczej się nie da. Opera słuchana w domu, na YouTube, to ćwierćopera. Teatr to bycie razem. Mówi się, że są do niego potrzebne dwie osoby – aktor i widz. Przykro jednak jest być jedynym widzem.

► **Czyli rada brzmi „chodźcie do teatru”?**

Chodźcie do teatru, koniecznie! Zwłaszcza do opery. Mam nadzieję,

że za jakiś czas powstanie w Gdańsku nowy teatr operowy, który będzie kuśił swoją formą. Takiego budynku nam brakuje. Opera się zmienia, ma dzisiaj inne wymagania. Sala, z której korzystamy, jest skromna, w scenie nie ma nawet zapadni, a coraz trudniej jest pozyskiwać widza bez gadżetów. Ale to też jest fajne, bo stanowi dla reżysera duże wyzwanie. Jak widać – jestem optymistą – dla mnie szklanka zawsze jest do połowy pełna.

► **Zachęca pan do spotkań na żywo, ale działa pan także w internecie. Czym jest Internetowy Przewodnik Operowy?**

Dosyć często słyszę, że ktoś przed pójściem na spektakl operowy wysłuchał streszczenia tego spektaklu z mojego Internetowego Przewodnika Operowego, jak nazwałem swój kanał na YouTube. Po to właśnie go stworzyłem. Bardzo długo opierałem się przed działalnością internetową, zupełnie nie wiem, dlaczego. Na szczęście pandemia zmobilizowała mnie do nowych form propagowania opery.

Mam tylko kilkadziesiąt polubień, może około tysiąca. To nie jest

sukces. Na razie nie zwracają się do mnie firmy reklamujące maszyny do golenia, żebym zrobił lokowanie ich produktu w swoim filmiku. [śmiech] Sukcesem jest to, że mam grupę subskrybentów, z którymi rozmawiamy i wymieniamy się opiniami. W internecie czuję się dobrze, ale lubię wyjść na scenę i mówić do ludzi. Wyczuwam wtedy energię, pojawia się element improwizacji i to bardzo mnie cieszy. Z drugiej jednak strony muszę pamiętać o planie, bo dookoła pięćdziesiąt osób według niego pracuje. Mogę zatem improwizować, ale w określonych ramach.

Internet jest przyjemną rzeczą, ale spotkanie na żywo jest o wiele przyjemniejsze. Dlatego też bardzo się cieszę, że dzisiaj spotykamy się na żywo, w dodatku na scenie Opery Bałtyckiej, a nie rozmawiamy przez nieludzkiego cyborga Zooma.

► **A może to nie „tylko”, a „aż” kilkaset polubień? To też jest sukces.**

Oczywiście, że tak. Ludzie na innych kanałach odnoszą o wiele większe sukcesy, ale wszystko w swoim czasie! Teraz zamarzyłem, żeby mieć pięćdziesiąt tysięcy subskrybentów. Zobaczmy, czy to marzenie spełni się za dziesięć lat.

► **I wtedy pięćdziesiąt tysięcy ludzi usłyszy: „Chodźcie do teatru!”.**

To byłoby bardzo przyjemne, ale jeszcze przyjemniejsze byłoby,

gdyby połowa z nich faktycznie do teatru przyszła. Dla mnie to ogromna satysfakcja, gdy widzę na spektaklach te same osoby, które uczestniczyły w moich spotkaniach popularyzatorskich. Bardzo budujący jest fakt, że to, co robię, przyciąga ludzi do teatru.

► **W jednym z wywiadów wspomniał pan o swojej pierwszej styczności z operą. Co tak bardzo chwyciło pana za serce w *Ognistym aniele* Prokofiewa?**

Moje zmysły zostały oszołomione. To nie jest dzieło, które kojarzy się z operą pierwszego kontaktu, potrafi raczej zniechęcić, niż zachęcić. Ja dałem się jednak skusić. Oszołomił mnie teatr operowy ogarniający wszystkie zmysły. Pamiętam, że po powrocie do domu z pudełka po czymś zrobiłem scenę wraz ze scenografią, puściłem z płyty muzykę i udawałem, że wystawiam operę. Była to kwestia połączenia treści, dźwięku i scenografii, tego gęstego warstwu, w którym można się zanurzyć, szukać jakichś przyjemności i sensów. Zawsze, kiedy przychodzę do teatru operowego, siadam i zaczynam analizować pracę bileterek, działanie marketingu, co się dzieło w kasie, sprzedaż miejsc na widowni czy koszt oświetlenia. Nagle to wszystko znika, pojawia się muzyka i wchodzę w to. Kiedy mija czwarta bądź piąta godzina opery, jestem cały zatracony i, pomimo

że oglądam taką *Traviatę* po raz siedemset pięćdziesiąty czwarty, to za każdym razem gdzieś pod koniec ściska mi się gardło w nadziei, że Violetta nie umrze, a ona zawsze umiera. Mam więc kolejny powód, żeby pójść ponownie, w nadziei, że tym razem będzie inaczej.

► **Jakie jest pana największe, jeszcze niezrealizowane marzenie zawodowe?**

Z marzeniami jest tak, że ja ich świadomie nie realizuję. Pewnego dnia przychodzi taki moment, że mówię „O rany! Przecież kiedyś marzyłem o tym, co się przed chwilą wydarzyło!”. Myślałem o czymś, później o tym zapomniałem, odpuszczałem, nie robiłem żadnych planów z tym związanych i nagle bum! Fajerwerk wydarzeń i moje marzenie jest zrealizowane. Kiedy byłem dzieckiem i przejeżdżałem tramwajem obok Opery Bałtyckiej, miałem takie marzenie, że chciałbym pracować w tym teatrze i podnosić kurtynę. To marzenie jeszcze się nie zrealizowało. Pracowałem tutaj na tyłu stanowiskach, byłem chłopakiem od wszystkiego, sekretarzem literackim, a nawet zastępcą dyrektora i twórcą na tej scenie, ale za sznurek kurtyny jeszcze nie pociągnąłem.

► **Dziękujemy za rozmowę.**

Wywiad powstał w ramach zajęć „Warsztat dziennikarski (reportaż)” prowadzonych na filologii polskiej przez dr hab. Magdalenę Horodecką, prof. UG. Całość wpisywała się w obchody 55-lecia Uniwersytetu Gdańskiego na Wydziale Filologicznym, współorganizowane z Akademickim Centrum Kultury UG „Alternator”. Nagranie całej rozmowy można obejrzeć po zeskanowaniu kodu QR.

